

Nazajutrz pobiegliśmy zjeść śniadanie u naszych nowych przyjaciół. Ich życzliwość i nagła do nas sympatia były wręcz zdumiewające, ale całkowicie szczerze. Gdy siedzieliśmy na podłodze przy żelaznych tackach, Mitali karmiła nas ręką jak siostra, aby nauczyć nas jeść radżasthańskie przysmaki bez użycia wrogich sztuczków. W tym samym czasie wszyscy radzili nad planem wycieczki. Projekty czterech kobiet wobec nas były bardzo ambitne, lecz temperatura powietrza trochę je modulowała. Postanowiliśmy zatem wpierw wyruszyć do zabytkowej świątyni Eklingji.



Jak nazwa wskazywała, świątynia, a raczej kompleks świątynny dedykowana była bogu Sziwie. Nazwa brzmiała jak po wielu przejściach, mielących co nieco jej gramatykę, ni to sanskrycką, ni to w hindi, czy też mewarską, ale jej znaczenie nadal było zrozumiałe – była to świątynia „Pana Lingamu”, czyli „Pana Penisa”. Pod tą formą Sziwa jest szczególnie często i gorąco czczony. Naszą podróż zaczęliśmy od stanięcia w „mieszkańcom tylko wiadomym miejscu”, gdzie zatrzymywał się autobus jadący w to oddalone o 20 km miejsce. Byliśmy z Mitali i jej babcią, osobą przezacną, lecz o straszliwie szelmowskiej

twarży, która mogłaby zmylić kogoś, kto jej nie znał. Babcia była dzielna, gdyż miała pod swoją kuratelą trzy zwariowane kobiety – swoją córkę i dwoje wnuczek. Pomimo tego, że dopiero od niedawna operacja kręgosłupa umożliwiła jej poruszanie się w miarę bez problemów, ogromnie chciała spędzić z nami trochę czasu.

Autobus na szczęście nie był zapchany i mogliśmy do woli delektować się widokami. Wpierw, oczywiście, jechaliśmy przez kręte ulice Udajpuru, choć dość szybko wyjechaliśmy na obwodnicę, zupełnie nie przypominającą tej w Agrze, która jest prawdziwą magmą ludzi, maszyn i zwierząt. Tutaj było niemal spokojnie, w miarę łatwo też było wyznaczyć granice drogi i miasta. O ile wcześniej, przy naprawie dróg starówki, widzieliśmy tradycyjnych pracowników, czyli kobiety w barwnych sari noszące wszystko co trzeba na swych głowach, o tyle tutaj wkroczyła nowoczesność. Widzieliśmy, a rzecz to w Indiach wciąż egzotyczna, robotników mężczyzn, z kaskami na głowach. Nasz pojazd, tym razem jednoweściowy Tata, toczył się dalej i wkrótce naszym oczom ukazała się przyroda otaczająca miasto Udajpur. Były to wzgórza, albo też niskie góry, dość strome jednakże. Porastające je krzewy i karłowate drzewa miały charakter półpustynny. Żółty kolor piasku przedzierał się łatwo przez tę gęstwinę, noszącą nieśmiałe, bojące się nadmiaru światła, liście. Po jakimś czasie zorientowaliśmy się, iż część wzgórz i małych kotlinek pomiędzy nimi zajęły dość niewielkich rozmiarów kopalnie odkrywkowe. Tu właśnie wydobywano indyjski marmur, dzięki któremu miasta graniczące z Radżasthanem, takie jak Agra, wyspecjalizowały się w robieniu kosztownych przedmiotów i płyt ściennych z tego drogiego surowca. Krajobraz nie był zbyt zniszczony. Wydobywaniu tego fetyszu rzeźbiarzy nie towarzyszyły liczne kominy, pasy transmisyjne etc. Wkrótce przy drodze pojawiły się warsztaty, składy i hurtownie oferujące marmur pod różnymi postaciami. Nasza droga pięła się coraz stromiej, co uzasadniało użycie w miarę lekkiego wariantu autobusu, stanowiącego jakieś 60% kubatury pełnowymiarowych produktów Taty. Nie mogliśmy jednak

rozwinąć naszych mechanicznych skrzydeł, bowiem po drodze pięły się z mozołem w górę podobne do wielkich biedronek ciężarówki, każda zaś wypchana po brzegi marmurem. Taki towar był poważnym wyzwaniem dla tych pomalowanych z ogromną fantazją maszyn. Znosiły to z dumą, lecz oczywiście niezbyt pospiesznie. Na samym końcu marmurowej Arkadii ujrzeliśmy przetwórnę kruszywa. Nic się nie marnowało.

Później starczyło wjechać i zjechać kilka razy, i byliśmy u celu. Po drodze roślinność nieco odżyła, bowiem w tych regionach również było trochę jezior. Zatrzymaliśmy się po środku drogi, mającej silny związek z bazarem, jak to w Indiach bywa. Babcia Mitali szybko kupiła w przydrożnym sklepiku podstawowe pakiety ofiarne (kokos, kadzidełka, wieniec kwiatów) i otrzymała w ten sposób u sklepikarza zapewnienie pilnowania naszych butów. Później na bosaka udaliśmy się pod bramę świątyni, która na szczęście nie była daleko, choć już się trochę przyzwyczailem do chodzenia czasem po Indiach na bosaka. Jest to spore wyzwanie, bo można się nieźle poparzyć o coś rozgrzanego słońcem, a także zanurzyć się po kostki w ekskrementach ludzkich, bądź zwierzęcych. Mniejsze jest natomiast ryzyko skałeczenia się rozbitą butelką, choć z drugiej strony z drogi mogą wystawać żelazne pręty, albo nierówno ułożone płyty, lecz przed takim zderzeniem żadne buty także nie chronią.

Oczywiście okazało się, iż w świątyni nie można robić zdjęć. Była ona znacznie popularniejsza od świątyni Jagannatha pod Pałacem Miejskim, zatem ilość odwiedzających ją ludzi utrudniała swobodne podziwianie rzeźby i architektury. Sądząc po rozmowie przed bramą, mogliby nas nie wpuścić do środka (jako niehinduistów, i nie Hindusów), gdyby nie hindi Kai, mój turban i towarzystwo dwóch prawdziwie indyjskich kobiet. Wnętrze kompleksu przypominało trochę twierdzę. Miał mury i przejścia pomiędzy nimi tak stworzone, jakby budowniczowie chcieli zawsze zostawić jak najdłuższy odcinek eksponowanej na strzały z łuku przestrzeni. Babcia została przy naszych

rzeczach, gdyż ich też nie można było wnosić, my zaś stanęliśmy w jednym z takich warownych obejść z tłumem chętnych chcących zobaczyć Eklingji. Strażnicy przy dalszej bramie z trudem dzielili fale ludzi na tych co wchodzi i tych co wychodzą. Jak zwykle grupka jakichś bezczelnych kobiet podbiegła do przodu, całkowicie tarasując korytarz dla wychodzących. Nikt się tym nie przejmował, gdyż było to normalne. Przy nas jakaś obarczona już wielorazowym doświadczeniem wiejska matka dosłownie wciskała nam na rękę swoją nową pociechę, na co Kaja i Mitali starały się reagować z uniesionym czołem. Mała dziewczynka, może dwuletnia, miała już sporo biżuterii na stopach i rękach, jak to często w Indiach bywa. Pomyślałem sobie, że to jednak nie dobrze wciskać się z takim maleństwem w taki tłum w tak gorący dzień. Ale może w ten sposób dorastając Hindusi byli bardziej zahartowani na radzenie sobie w ogromnym ścisku współobywateli. Nie wiem. Jeśli chodzi o upał, wcale nie byli bardziej odporni od mieszkańców zimnej Europy. Może nie da się być odpornym na upał?

Ludzie przy samej bramie wznosili okrzyk na cześć bóstwa świątyni brzmiały – „Jay Shiva!”. Gdy w końcu znaleźliśmy się w środku, znów ogarnął nasz dworzec usług świątynnych. Jak na taśmociągu, kolejka ludzi podchodziła do ważnych świętych miejsc, tam robiła co trzeba zrobić i szła dalej. Niektórzy robili swoje odruchowo – dawali kwiaty, odbierali poświęcony cukier, dotykali rytualnie określonych miejsc, takich jak progi wejściowe i robili proste gesty. Inni, bardziej rozpaleni dewocją, padali na twarz. Tym razem nie było osób poruszających się w ramach ascezy w dziwny sposób. Na przykład za pomocą padania na twarz i wstawania (rekordziści odbywali w ten sposób pielgrzymki po całych Indiach), turlania się na boku, czy też pełzania. Sama świątynia była piękna. Stanowiła las wielkich i małych wież, pokrytych mniej lub bardziej zachowanymi rzeźbami. Przepięknie wpisywała się w dalszy, górzysty pejzaż. Kamień tego przybytku był pociemniały, choć kiedyś zapewne jaśniał radośnie w promieniach słońca. Ten

kompleks też pochodził ze średniowiecza. Przed główną bramą odkryliśmy posąg oranta pod baldachimem. Pomyśleliśmy, że to zapewne przedstawienie jakiegoś radży, podobnie jak w świątyni Jagannatha, lecz tym razem była to postać legendarna, podobnie jak ten biedny sadu, dla którego posąg byka Nandina przesunął się, aby ukazać mu murti Sziwy.

Wewnątrz głównego budynku, na środku, pod piękną starodawną kopułą, grupa wiernych śpiewała bhajany z towarzyszeniem bębnów. Szło im to całkiem nieźle. Aby zobaczyć wszystko, co jest w świątyni, trzeba było iść wraz z kolejką wzdłuż murów świątyni. Mężczyznom przysługiwało bardziej zaszczytne miejsce po stronie wewnętrznej, kobietom po stronie zewnętrznej. Niestety, było nas, samców mniej, i ledwo zdążyłem się nacieszyć pięknymi rzeźbami, wylądowałem z granulkami cukru niemal przy wyjściu. Owe granulki cukrowe były najprostszym rodzajem poświęconego pokarmu, czyli pudży. Z takiej tradycji wywodzi się wielkanocna święconka, jest to tradycja w pełni politeistyczna.

Część świątyni, być może najstarsza, była zamknięta, gdyż jak wytłumaczył nam strażnik, jakiś czas temu skradziono z niej bezcenny, wielki posąg. Mimo to mogliśmy rzucić okiem na te dawne mury ociekające amorficznym plastycyzmem, tym razem pozbawione tego żywego kontrastu, jakim byli przemierzający się wśród nich, od kiedy tylko powstały, zastępy pielgrzymów. Gdy wyszliśmy, nie czekaliśmy na babcię, lecz skierowaliśmy się wzdłuż drogi głównej, z którą graniczyła część murów świątynnego kompleksu. W pewnym momencie z murów wybiegła nad ulicę zabytkowa brama, zaś wszelkie wypchane marmurem, barwne ciężarówki wciskały się w nią posłusznie wydobywając z siebie swoje klaksony, sekwencje, muszące robić wrażenie na wszystkich, którzy weszli takiej wielkiej biedronce w drogę.



Lecz szliśmy wśród murów dalej. Na tyłach świątyni znaleźliśmy mały aśram, zaś Mitali przerażała nieszczęsnych ascetów tam żyjących pytaniami profesjonalnej przewodniczki chcącej pogłębić swą wiedzę, a kwitowanymi beztroskim śmiechem. W każdym bądź razie pobożnie zaczerpnęła pył z ofiarnego ogniska i zaleciła nam spożycie go, choć nie wiemy, czy sama to uczyniła. Poszliśmy dalej i niebawem stanęliśmy przy imponujących gathach wpływających swoimi wielkimi schodami w wielkie jezioro. Obok nich stało trochę starych świątyń, prawie opuszczonych, gdyż nie mogły wytrzymać

konkurencji z Eklingji, choć do pewnego stopnia mieściły się w całości kompleksu urbanistycznego. Staliśmy zatem na górze ghatów, patrząc na rozległy i całkiem dziki pejzaż, oraz na kąpiących się ludzi. Odniosłem wrażenie, iż wielu z nich się po prostu tam myje, przy użyciu mydła i nie zwraca uwagi na świętą rangę ablucji, albo też po hindusku, praktycznie, łączy jedno z drugim. Obok myjących się, pływały sobie wesoło dzieci, a kilka kobiet prało cierpliwie ubrania. Wszystko to widzieliśmy jakby z lotu ptaka, gdyż schody były rzeczywiście strome.

Zastanawiałem się, jak stare mogą być tutejsze ośrodki kultowe. Ile innych poprzedzało te istniejące. Historia Indii nie zostawiła po sobie wiele śladów. Ciągłe rozpadające się królestwa stroniły chyba od kronikarzy. Całkiem możliwe, że przed najazdami muzułmańskich armii Radżasthan był tylko pustynną prowincją, której ranga wzrosła po tym, jak cesarze Mogolscy zaakceptowali autonomię tej krainy i dopuścili jej elity do sprawowania władzy w całym Hindustanie. Większość ważnych miast w Radżasthanie, takich jak Jaipur, czy Bharatpur, zostało założonych w czasach nowożytnych. Jednakże jest to myląca geneza, gdyż Jaipur na ten przykład został założony u stóp dawniejszego grodu. Wygląda na to, że podobnie jak w przypadku Delhi, wielu władców nie chciało przebudowywać istniejących ośrodków miejskich, lecz wolało zakładać nowe, obok nich. Być może jedną z przyczyn był gorący klimat Subkontynentu, w każdym bądź razie nie sprzyjało to zachowaniu wspomnień i historii. Jedynymi miejscami zanurzonymi w czasie były świątynie, lecz był to czas mityczny, pełen odcisków stóp zostawionych przez bogów i dawnych herosów.

Zanim wyjechaliśmy z Eklingji zmusiłem wszystkich do napicia się herbaty, w stylowym i mrocznym indyjskim barku, gdzie siedzi się na prostych i steranych ławach. Mitali zamówiła do tego przekąski, z których słynie to miejsce. Coś w rodzaju samosy, lecz rzeczywiście inne. Tradycje kulinarne kraju Bharatów nie przestają mnie zadziwiać, są tam miliony



miejsc o jakimś własnym wyrazie, a każde z nich ma swoje własne tradycje, objawiające się także w kuchni.

Gdy wróciliśmy do domu Mitali i jej babci, poznaliśmy przy lunchu trochę ich historię. Matka dziewczyn rozwiodła się i żyły teraz same, cztery kobiety pod jednym dachem. Radziły sobie całkiem nieźle, miały swoją kwiaciarnię. W matce Mitali zakochał się sympatyczny Sameer, który był przewodnikiem, choć jego angielski był dość słaby. Sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego jegomościa. Matka Mitali była trochę przy kości, lecz poza tym należała do całkiem urodziwych kobiet, poza tym była dobrą i inteligentną osobą. Nie dziwiliśmy się zatem Sameerowi i patrzyliśmy się uśmiechnięci, jak karmią się nawzajem jedzeniem, aby podkreślić w ten sposób swoją miłość.

Po jakimś czasie wyszliśmy zwiedzać dalej. Był już wieczór i udaliśmy się na motorynce Mitali nad najmniej znane jezioro Udajpuru. Po drodze nasza przewodniczka pokazała nam swoją szkołę średnią, mieszczącą się w dość ładnym budynku, jeszcze w starówce. Była to szkoła żeńska. Nad jeziorem znajdowało się wzgórze z przepięknym ogrodem. Widoki z niego były oszałamiające. Obok mniejszego jeziora widać było to główne, z Pałacem Miejskim i dwoma pałacami na wodzie. Po pokrytych kwiatami schodach schodziło się do tańczącej fontanny, która wykonywała swoje świetlno dźwiękowe ewolucje na tle panoramy miasta Radżputów.

Następnego dnia Kaja się rozchorowała od upału i siedzieliśmy trochę w domu. Wieczorem postanowiliśmy wyciągnąć Mitali i jej siostrę Ayushi do kina. Mitali zaproponowała film, który wszedł niedawno i był niezwykle popularny wśród nastolatków. Był zatytułowany „Faltu” i nie grali w nim bardzo znani aktorzy. Gdy dotarliśmy do kina, które było położone w dość wielkomiejskiej części Udajpuru, nieopodal starówki, okazało się, iż nie ma miejsc, wybraliśmy zatem kolejny seans i w ten sposób zyskaliśmy trochę czasu na zwiedzanie. Oczywiście Mitali była bardzo honorowa i początkowo długo nie chciała się zgodzić, abyśmy postawili im bilet, choć przecież

tylę dla nas zrobiła jako przewodniczka. Udaliśmy się do różanego ogrodu, który był wielkim kompleksem parkowym, w obrębie którego znajdował się nie tylko ogród różany, ale też ogród zoologiczny. Zanim jednak doszliśmy do róż, zagłębiliśmy się w jakimś XIX wiecznym aśramie, który został uznany za muzeum działającego tam onegdaj mistyka. Wpadliśmy w obroty strażnika – przewodnika i z nieco mieszanymi uczuciami poznawaliśmy biografię świętego. Była ona standardowa. Znał wszystkie Wedy, dokonał niezwykłych czynów, typu długie pielgrzymki i nauka u surowego guru, żyjąc udowadniał innym swoje racje, znał prawdę, był chodzącą prawdą etc. Dokonywał różnych cudów, uzdrawiał, wskrzeszał etc. Wyglądał jak łysy grubas, zaś jego guru był szkieletem rodem z horroru, który swego ucznia nawet biczował. Oczywiście w Indiach, często im lepszy guru, tym bardziej stanowczy i niemal okrutny. Jego zadaniem jest zniszczenie wad ucznia, które zna lepiej niż on sam. Chińskie opowieści o cierpliwym waleniu w ścianę, czy noszeniu wody przez adeptów kungfu należą do tej samej historii. Oczywiście, spieszę dodać, całkiem możliwe, iż ów święty był mimo wszystko dobrym człowiekiem, i obok tego co zrobiła z niego ludowa hagiografia dokonał też sensownych rzeczy na gruncie społecznym, bo i tak bywało...

Sama budowla dawnego aśramu przypominała co nieco architekturę radżpucką. Barokowe balkony na dwukondygnacyjnych skrzydłach budowli obiegały dwa dziedzińce. Gdy weszło się na przyozdobiony kamiennymi balustradkami i paroma kioskami dach można było się zapatrzyć w drzewa i panującą tutaj ciszę. Na koniec zostaliśmy skłonieni do obejrzenia filmu o wielkim mistyku, który powtarzał treści zawarte w ekspozycji i opierał się na tych samych malowidłach, które wyeksponowano na ścianach. Zapomniałbym dodać. Otóż w jednym przedstawieniu mistyk został złapany przez chrześcijan, oni zaś wyglądali jak Chrystusowie z popularnych, istniejących po dziś dzień obrazków. Nota bene w trakcie obiadu poznaliśmy religię naszych przyjaciółek. Otóż były one dżinistkami, choć Mitali wprowadziła nas w błąd z taką atencją przystając i modląc

gdzie się trzeba w hinduistycznych świątyniach. Choć jak się zastanowić, nie jest to wcale w Indiach dziwne – najbardziej święte miejsca są respektowane przez wyznawców wszystkich religii Subkontynentu. Nawet muzułmanie nie kręcą nosem na wiele świętych miejsc hinduistów i wice wersa.

Po wyjściu z aśramu mogliśmy zagłębić się w ścieżkach parku, przy których rosły wyjątkowo stare i okazałe drzewa. Z jednej strony znaleźliśmy wielką rezydencję w stylu wiktoriańskim. Nieopodal niej znajdował się wielki, różany ogród. Ku rozczarowaniu Mitali, róże teraz nie kwitły, lecz nie brakowało innych kwiatów, anarchistycznie skupiających się na zewnątrz rozarium. Były to w końcu indyjskie kwiaty. Po zmierzeniu nieposłusznych róż marsowym wzrokiem ruszyliśmy na drugi koniec zielonego kompleksu, gdzie znajdowało się zoo. Nie mieliśmy już czasu go zobaczyć, bowiem zbliżał się czas seansu. Trzeba było wyruszyć w długą drogę powrotną, bowiem rykszarze zbytnio upierali się przy swoich cenach.

Film okazał się opowieścią o leniwych studentach, którzy już po raz któryś zostali wyrzuceni ze studiów i nie mogli się już dostać na żadne inne. Było to dla nich ogromne zmartwienie, bo choć nie lubili się uczyć, to jednak uwielbiali życie studenckie, imprezy, znajomych etc. Gdy znaleźli się w kropce, bez powodzenia i zabawnie próbowali różnych rozwiązań, w czym pomagał im przyjaciel kujon, nota bene syn dyrektora Komisji Edukacji. W końcu, za sprawą tajemniczego biznesmena, który miał w sobie coś z ojca chrzestnego, założyli szkołę, tylko po to, by ich rodzice byli przeświadczeni o tym, że się uczą i dali im spokój. Uczelnia została stworzona z jakichś ruin, zatrudniono nawet dyrektora, czyli hippisa chcącego nauczać kontrowersyjnie i alternatywnie. I oto nasi bohaterowie zdumieni się, gdy na inaugurację ich uniwersytetu zwałił się tłum chcący na niego uczęszczać. Początkowo sprawcy chcieli odwołać całą sprawę, lecz w końcu zostali przekonani, aby uczelnię otworzyć. Pierwsze tygodnie uczelni były zgodne z postulatami jej

założycieli, polegały zatem na ciągłej dyskotecie, picciu piwa oraz drinków, oraz na wzmożonych kontaktach towarzyskich. Ten beztrosko buntowniczy nastrój podkreślony został piosenką, mieszającą stylistykę rocka z bardziej indyjskim idiomem. Wszyscy zgromadzeni na Sali powitali swój ulubiony przebój gromkim aplauzem. Ja z pewnością nie zaliczyłbym go do grona moich ulubionych piosenek filmowych, lecz wydaje mi się, iż podobała się przede wszystkim treść tego utworu, wymierzona przeciwko wiernopoddańczej edukacji, kieracie, przez który musiał przejść każdy młody Hindus, jeśli chciał coś w życiu znaczyć i założyć rodzinę (przy aranżowanych małżeństwach trzeba coś znaczyć). Ciężko nam sobie wyobrazić takie indyjskie szkoły. Obok tych znajdujących się w ścisłej światowej czołówce i godnych pozazdroszczenia, większość to mechaniczne fabryki dyplomów. Popyt jest tak wielki, iż nauczyciele i wykładowcy w ogóle nie liczą się ze studentami. Oni muszą tylko płacić i dostosować się do standardów. Zajęcia są organizowane w dużych salach, w dużych grupach, testy tak pomyślane, aby można je było sprawdzić zwykłym skanerem. Studenci przyjeżdżają z prowincji, z biednych dzielnic, niekiedy stanowiąc inwestycję całej rodziny, składającej się na ich studia przez lata. Brane pod uwagę są tylko przedmioty przynoszące zyski – bankowość, inżynieria, kolejnictwo etc. Jeśli młody człowiek ma jakąś bardziej idealistyczną wizję swej edukacji, wybija mu się to z głowy. W córki rzadziej się inwestuje, jeśli zaś tak, to ich umiejętności bywają traktowane jako część posagu. Mają znaczenie dekoracyjno, reprezentacyjne. Ciężko się zatem dziwić młodym Hindusom z prowincjonalnego Udajpuru, iż podnieciła ich piosenka obalająca wszelkie te wartości w przebojowy i żartobliwy sposób. Temat mechanicznego kieratu walki o pozycję i status, bez względu na to, kim się tak naprawdę jest, porusza też film „Trzej Idioci” Amira Khana, o którym wspominałem wcześniej. Tam mamy drastyczne sceny samobójstw (które rzeczywiście często się zdarzają). W przypadku „Faltu” mieliśmy do czynienia z beztroską i mało realistyczną komedią, co z pewnością było lepsze jako odreagowanie dla osób zmuszonych do

pogodzenia się z wyznaczoną im rolą.

Oczywiście „Faltu”, czyli „lenistwo” okazał się w swojej pierwotnej koncepcji utopią. Postanowiono zatem dobrowolnie zgodzić się na naukę i nauczanie, ale tych rzeczy, które rzeczywiście podobały się młodym ludziom. Czyli mody, robienia filmów, piosenkarstwa, a nawet gotowania i fryzjerstwa. Specjalna komisja studentów udawała się do różnych miejsc i rejestrowała rady i wskazówki fryzjerów, kucharzy, filmowców i piosenkarzy. Później uczono się z tego.

Gdy „Faltu” zaczęła przynosić rezultaty, również pod postacią odpłatnych zleceń na różne produkty i usługi dla szkoły i zespołów jej uczniów, doszło oczywiście do starcia z dyrektorem Komisji Edukacji. Przebiegłi studenci nie dali za wygraną, lecz pomimo, że urząd oficjalnie zamknął ich szkołę, wkręcili się nielegalnie na pokaz szkół w Ministerstwie Edukacji. I tam zwrócili uwagę samego ministra kultury, który nie tylko cofnął nakaz usunięcia Faltu z listy wyższych uczelni, ale też nagroził tę instytucję. Pokaz Faltu był zrobiony w filmie ciekawie. Za pomocą rąk i płacht materiału, oraz odpowiedniego oświetlenia, przygotowano choreografię mówiącą o braku kreatywności we współczesnej, „jak trzeba” edukacji.

Ta prosta, acz wyrazista idea bardzo poruszyła nasze przyjaciółki. Gdy wracaliśmy, zatrzymały się w domu przyjaciółki Mitali, aby podzielić się wrażeniami z nią i z jej matką. Bardzo mnie wzruszyło to zamiłowanie młodych Hindusów do obrony czegoś prawdziwego w procesie edukacji, do szukania własnej ekspresji w tworzeniu. Jednym z głównych wniosków filmu było to, iż w obecnym układzie przekazywania wiedzy wiele młodych talentów się marnuje. Tylko nieliczni są w stanie wytrwać w procesie selekcji, mechanicznym, szybkim i masowym, nastawionym na ściśle określone zasady osiągnięcia sukcesu w życiu. Szczególnie dotyczy to kobiet, które nadal są pojmowane najczęściej jedynie jako żony i matki. Wiek, w którym była Mitali, siedemnaście lat, był zdaniem ogółu

odpowiedni do wydania jej za mąż, co oznaczało związanie się poprzez aranżowany ślub z obcym mężczyzną o odpowiednim pochodzeniu i statusie, no i dzieci, kuchnię, nowe miejsce w cieniu teściowej...

Pomimo późnej pory musieliśmy zjeść kolację w domu Mitali. Jej matka i babcia zachwalały przy okazji rodzinę narzeczonego Mitali, natomiast ona sama uśmiechała się melancholijnie podając nam różne sosy, tym razem w stylu gudżarackim, który jest popularny w Udajpurze, jako że leży on przy granicy tego kolejnego stanu Indii. Znając społeczeństwo indyjskie, można było być pewnym, iż na Mitali ciąży to, iż nie miała ojca, iż jej matka była rozwiedziona. Tym bardziej istotne z punktu widzenia relacji społecznych było wydanie jej za dobrze postawionego mężczyznę z jak najwyższej kasty. Mitali oczywiście o tym wiedziała i była posłuszna matce. Matka zapewne nie była fanem aranżowanych małżeństw, ale też zdawała sobie sprawę z pozycji jej córki, którą należało zmienić na jak najlepszą.

Następnego dnia upał dał nam się we znaki tak mocno, iż do wieczora musieliśmy zostać w domu, bowiem dostaliśmy gorączki. Wieczorem, w domu Mitali, mieliśmy okazję obejrzeć finałowy mecz Mistrzostw Świata w krykieta, czyli pojedynek Sri Lanki z Indiami. Lanka w swojej połowie z trudem zdobywała punkty, bowiem drużyna indyjska naprawdę była świetna. Lecz w ostatniej części wstąpiły w nich lwy przodków i piłka zaczęła unosić się nad boiskiem, a punktacja, ku zdumieniu wszystkich, wzrosła do pułapu, który stanowił nie lada wyzwanie dla drużyny przeciwnej. Jeszcze raz się okazało, iż Lankijczycy potrafią być zaskakująco skuteczni, gdy przyciśnie się ich do muru.

Ale w swojej połowie Hindusi pokazali chyba najlepszą grę w trakcie tych mistrzostw. Zbijali Lankijskich odbijających jednego po drugim. Mimo to Lankijczycy, jak rzadko to się w

krykiecie zdarza, zmieniali niemal przegraną dla siebie sytuację, wyrównywali punktację, stosowali wyrafinowane strategie. Gdy Hindusom zostało już tylko kilkanaście odbić, wstąpiła w nich prawdziwa szaki i stali się niepokonani. No i stali się Mistrzami Świata! Po raz drugi. Gdy wracaliśmy z Mitali na motorynce do hotelu, cały Udajpur oszalał. Ludzie tańczyli na ulicach, a niebo rozświetlały sztuczne ognie (co miłe, nikt nie rzucał ich na ziemię). Przypominało to trochę zabawę sylwestrową, w której nie brakowało alkoholu. Mimo to, bawiono się bardzo sympatycznie. Raz tylko, iście po sarmacku, zostaliśmy zatrzymani przez szczególnie namiętnego wodzireja, aby wypić za Indie. Nazajutrz wszyscy grzecznie wrócili do swoich zajęć, oczywiście z wypiętymi piersiami i dumnie podniesionymi głowami. Cieszyłem się tym sukcesem Hindusów, choć żał mi się zrobiło biednych Lankijczyków, którzy potrafili dokonywać w tym World Cup zadziwiających rzeczy. Liczyli na zwycięstwo i prawie się im udało. Pomyśleć – mała wysepka, gdzie żyje pięćdziesiątkrotnie mniej ludzi niż w Indiach...

[Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)